

WIENIADOMOŚCI

GRODZIENSKIE

Cena 10 gr.

Rok II.

GAZETA PORANNA DLA WSZYSTKICH

Nr. 356

Sąd doraźny we Lwowie

skazał trzech terrorystów na śmierć

(Telefonom od specjalnego korespondenta ze Lwowa)

Onegdaj przemawiał jeszcze dr. Suchewycz, obrońca Danilyszyna.

Orońca podnosi się woli i charakteru oskarżonego, świadcząc o jego wartości moralnej.

— Mój klient dowiódł tego młodziemu. Pierwszy raz odzwał się, biorąc winę kolegi na siebie; drugi raz, kiedy była mowa o s. p. Hołowce; trzeci raz — zapiekł. Nie będąc przestępcą, nie należał do U. O. W., co jest wzbronione, nie wciągnął go Motyka. Gdyby rozprawa potrwała dłużej, przedstawilibym sądowi dowód, który dopiero teraz otrzymałem, że Motyka zobowiązał się, po wyjściu z więzienia, demisjonować komunistów i nacjonalistów. Jak wygląda w tam świetle Motyka, wciągający analfabetów do akcji niedozwolonej, by ich następnie wydać w ręce policji? To robota gorsza, niż stu Kaimów, to robota djajala!

Danilyszyn był tylko karnym członkiem organizacji, któremu nie powierzono rozlewu krwi! W pewnym momencie przemówienia obrońcy do Danilyszyna podchodził kom. policji i podaje mu prosek sapriny i szklankę wody. Oskarżony przyjął prosek. Kiedy obrońca mówi o momencie schwymania go, Danilyszyn zaczyna płakać, a w jego oczach skazują się łzy.

Następny wstaje dr. Pańkiewicz.

Podnosi on w swym przemówieniu fakt, że Danilyszyn strzelał wdy, kiedy groziło mu schwytnie. Kierował nim wtedy instynkt obrony.

Z kolei wygłosił mowę obrońca Żurakowskiego, dr. Hankiewicz.

Obrońca mówi o tragedji Żurakowskiego, człowieka chorego na serce, straszącego go śmierci ojca i matki dwie siostry. Rolą jego w napadzie była znikoma.

Miał przemawiać jeszcze obrońca Kossaka, adw. Głuszkiewicz, ale przewodniczący odroczył rozprawę do dnia wczorajszego.

Wczoraj o godz. 9-ej rano rozpoczął przemówienie ostatni obrońca dr. Głuszkiewicz w imieniu oskarżonego Kossaka.

Przemówienie obrońcy trwało od godz. 9-ej rano do godz. 11 z pięciominutową przerwą. W świetnie opracowanej mowie obrońca wskazywał na brak dowodów winy swego klienta.

Następnie przewodniczący trybunału, sędzia Jagodziński, zapytuje oskarżonych, czy chcą skorzystać z prawa ostatniego słowa.

Pierwszy wstaje Danilyszyn i oświadcza:

— Jestem świadom swego czynu. Wiem co mnie czeka. Żałuję tylko, że śmierć nie pozwoli mi pracować dla Ukrainy.

Ostatnie słowo Bilasa brzmi podobnie. Dodaje on poza tem:

— Żałuję, że chcąc bronić siebie, obciążylem Kossaka, który jest niewinny. Czynu swego nie żałuję, gdyż jestem z przekonania rewolucjonistą ukraińskim.

Żurakowski i Kossak zrzekli się ostatniego słowa.

Trybunał udaje się na naradę, która trwała krótko.

O godz. 11 min. 20 wśród grobowej ciszy wchodzi trybunał i przewodniczący odczytuje wyrok, na zasadzie którego skazuje: Wasyla Bilasa na karę śmierci, Dymitra Danilyszyna na karę śmierci,

Mirosława Żurakowskiego na karę śmierci.

Wszystkich trzech na pozbawienie praw obywatelskich oraz konfiskatę majątku.

Co do czwartego oskarżonego Zenona Kossaka trybunał uznaje swą niekompetencję i decydu-

je przekazanie sprawy na drogę postępowania zwykłego.

W ciągu 15 minut przewodniczący Jagodziński odczytuje motywy wyroku.

W motywach wyroku trybunał ogłasza, że wina oskarżonych została udowodniona, zarówno ich przyznaniem się, jak i postępowaniem dowodowym. Oskarżony Danilyszyn skazany został za napad z bronią na cudze mienie oraz za usiłowanie zabójstwa na osobach posterunkowego Stugockiego i Andruchowa, oskarżony Bilas — za napad z bronią na cudze mienie i zabójstwo przodownika Kojata, zaś oskarżony Żurakowski — za napad z bronią na cudze mienie. Oskarżony Kossak przekazany został sądowi przysięgłych z powodu braku jedynomyślności wśród członków trybunału.

Po odczytaniu motywów wyroku adw. Suchewycz wnosi do trybunału prośbę, by trybunał zwrócił się do Pana Prezydenta o ulaskawienie skazanych na śmierć.

Trybunał udał się na naradę; poczem droga telegraficzna zwrócił się do P. Prezydenta o skorzystanie z prawa łaski.

Na sali zapanowało silne poaniecienie. Oskarżeni są napędzani spokojni. Dziękują swym obrońcom. Danilyszyn ma twarz zaciętą.

W czasie przemówienia obrońcy Głuszkiewicza na salę rozpraw wszedł Władysław Hołowko z Nowogródka. Jego pojawienie się wywołuje ogólną sensację dzięki uderzającemu podobieństwu do s. p. Hołowki. P. Hołowko podchodzi do ławy oskarżonych; zapytuje o sprawców zabójstwa brata. Skazańcy zaprzeczają; nie brali w tem udziału i oświadczają, że to się już nigdy nie wykryje!

Głodowe rozruchy w Niemczech

BERLIN, (PAT). — W ciągu wczorajszego popołudnia powtarzały się w Berlinie i na prowincji demonstracje komunistyczne i napady na sklepy. Grupy komunistów terroryzowały obsługę w sklepach wystrzelały rewolwerami i porwały towary i pieniądze z kas. Plondrowanie odbywało się równocześnie w różnych dzielnicach miasta.

Komuniści usiłowali urządzić poza tem demonstrację uliczną. Tlum rozpedziła policja przy pomocy pałek gumowych, dokonywując licznych aresztowań.

Planowany marsz głodowy komunistów do Rathenów został przez władze udaremniony.

Komuniści manifestowali również w Bremie przed ratuszem. Interwenjowała policja, rozpedzając przy pomocy pałek gumowych. Zaburzenia powtarzały się do późnego wieczoru.

Bezczelny napad na sklep jubilerski w biały dzień

BERLIN, (ATE). — W Hanowerze dokonano dziś w biały dzień niezwykle śmiałego napadu na magazyn jubilerski. W chwili najbardziej ożywionego ruchu ulicznego podjechało

pod magazyn auto z dwoma pasażerami. Jeden z nich wyskoczył, uderzył kamieniem owiniętym w szmatę w szybę wystawową, porwał kasetkę z pierścieniami brylantowymi i błyskawicznie wskoczył do auta, które w tym samym momencie ruszyło w drogę. Zanim liczni przechodnie zdążyli zorientować się w sytuacji, auto zniknęło w jednej z bocznych ulic.

skawicznie wskoczył do auta, które w tym samym momencie ruszyło w drogę. Zanim liczni przechodnie zdążyli zorientować się w sytuacji, auto zniknęło w jednej z bocznych ulic.

Śledztwo w sprawie zamachowców łódzkich w toku

ŁÓDŹ (tel. wł.) — W sprawie zamachu bombowego w Łodzi, dokonanego przez członka N. P. R. Prawicy Kuchciaka i jego 18 współników śledztwo nie

zostało jeszcze ukończone. Śledztwo nagromadziło dotychczas wiele obciążającego materiału. Prawdopodobnie zostanie ono ukończone dziś lub jutro

Termin rozprawy doraźnej przeciwko zamachowcom bombowym odbędzie się prawdopodobnie w pierwszej połowie stycznia.

Demonstracyjny strajk ubezpieczeniowców Protest przeciw prowokacji i wyzyskowi

Wczoraj odbył się w Warszawie jednodniowy strajk demonstracyjny pracowników wszystkich prywatnych towarzystw ubezpieczeń dla poparcia akcji strajkowej kolegów z towarzystw: „Piast”, „Riunione”, „Generale” i „Przyszłość”. W demonstracji strajkowej wzięło udział 600 pracowników.

Po południu odbył się wiec w sali handlowców, na którym uchwalono rezolucję, protestującą przeciw prowokacyjnemu i dotkliwie krzywdzącemu pracownikom stanowisku dyrekcji. W zakończeniu zebrani nawołują do solidarnej obrony.

W obecnej chwili w strajku ciągłym znajduje się około 250 pracowników. Zachodzi możliwość porzucenia pracy przez pracowników tow. „Orzeł”, jeśli dyrekcja do soboty nie uwzględni żądań pracowniczych.

Dla poparcia strajkujących kolegów napływają ze wszystkich stron składki. M. in. Zrzeszenie Pracown. Banku Polskiego i P. Z. U. W. wyasygnowały po 1000 zł. na rzesz pomocy dla strajkujących.

Wobec tego strajkujący w Warszawie, oczekiwali z niecierpliwością wczorajszego dnia, w którym miało nastąpić rozdawnictwo kartofli. Złe jest, więc dobrać choć parę kartofli dostać na święta.

Po otworzeniu drzwi okazało się, że przechowywane w dole 8 wagonów kartofli uległo zgniciu. Łatwo sobie wyobrazić oburzenie bezrobotnych, którzy tak liczyli na te kartofle. Doszło do burzliwej demonstracji, którą uspokoiło zapewnienie magistratu, że zakupi 8 wagonów kartofli i rozda je.

Zderzenie dwóch parowców

PARYŻ, (ATE). — Przy wyjściu z portu Marsylii zderzył się francuski parowiec pasażerski „Bernardin de St. Pierre” płynący do Madagaskaru z parowcem hiszpańskim „Naveimar” o pojemności 6000 ton. Podczas gdy „Bernardin de St. Pierre” doznał jedynie lekkich uszkodzeń, parowiec hiszpański uległ rozbitciu. Żołęga została uratowana.

Zgnite kartofle dla bezrobotnych w Otwocku

Bezrobotni w Otwocku pod Warszawą, oczekiwali z niecierpliwością wczorajszego dnia, w którym miało nastąpić rozdawnictwo kartofli. Złe jest, więc dobrać choć parę kartofli dostać na święta. Po otworzeniu drzwi okazało się, że przechowywane w dole 8 wagonów kartofli uległo zgniciu. Łatwo sobie wyobrazić oburzenie bezrobotnych, którzy tak liczyli na te kartofle. Doszło do burzliwej demonstracji, którą uspokoiło zapewnienie magistratu, że zakupi 8 wagonów kartofli i rozda je. Należy to uczynić natychmiast!

Jeszcze 10.000 bezrobotnych więcej

Według ostatnich danych państwowych urzędów pośrednictwa pracy, liczba bezrobotnych, zarejestrowanych na terenie całej Polski w dniu 17 b. m. wyniosła ogółem 198,272 osoby, co w porównaniu ze stanem z poprzedniego tygodnia stanowi wzrost bezrobocia o 10,595 osób.

nosila 18.283 osób, t. j. o 1,055 osób więcej, niż w tygodniu poprzednim.

Liczba bezrobotnych w Łodzi (wraz z okręgiem) wykazuje w ciągu tygodnia wzrost o 3,042 osób i wynosi obecnie 27,112 osób.

Liczba bezrobotnych na Śląsku wyniosła 72,817 osób, co stanowi wzrost bezrobocia o 1,365 osób w ciągu tygodnia.

GIEŁDA

Obroty małe. Tendencja niejednołita. Banknoty dolarowe w obrotach pozagiełdowych — 8,93 i jedna czwarta, rubel złoty — 4,64 i pół. Tendencja dla pożyczek państwowych niejednołita, dla listów zastawnych — słabsza. Obroty akcyjami ma-

Służba bezpieczeństwa w policji

U nas, tak jak i w zachodniej Europie do pomocy organom bezpieczeństwa staje prywatna inicjatywa, tworząc t. zw. kantory wynajmu dozorców nocnych, celem strzeżenia mienia prywatnego przed kradzieżą.

Kantory takie mogą egzystować jedynie na podstawie udzielenia im koncesji Min. Spraw Wewnętrznych, które specjalnymi przepisami reguluje kwalifikację i wiek dozorców nocnych.

Regulaminy i przepisy te są dobre i pomyślane na sposób zachodnio-europejski, co z tego jednak, gdy w praktyce zbyt duża liczba tych towarzystw do prowadzą do ostrej walki konkurencyjnej między poszczególnymi firmami i do obniżenia stawki za dozór do znikomych rozmiarów.

Obniżanie stawek w celach konkurencyjnych spowodowało całą akcję dozoru wprost do niedorzeczności, gdyż w rezultacie spowodowało bardzo mizerne wynagrodzenie dozorców nocnych oraz obarczanie ich zbyt rozległymi i trudnymi do kontrolowania odcinkami.

I tak np. według uzyskanych przez nas wiadomości jedna z firm stawia jeden posterunek na 30-40 domów. Właściciele tych obiektów i kupcy placą firmie przeciętnie za dozór 200 zł. miesięcznie, tymczasem pensja dozorczy nocnego wynosi w tej firmie przeciętnie 100 zł. a przezważnie 70 lub 80.

W podobnych warunkach dozorcami nocnymi mogą być tylko ostateczni biedacy, którzy to zajęcie traktują albo przejściowo albo ubocznie, dorabiając ja kiemś rzemiosłem.

W obydwu wypadkach nie dzieje się to z pożytkiem dla sprawy bezpieczeństwa.

Ponieważ głodowe wynagrodzenie dozorczy nocnego nie wystarcza na najskromniejsze utrzymanie człowieka obciążonego rodzinnymi i trudnymi warunkami nocnej służby wykluczając naogół dodatkowe zarobkowanie, si-

łą rzeczy młodzi i energiczniejsi ludzie nie kwapią się do tego zawodu.

Dozorcy nocni więc rekrutują się przeważnie ze zniechęconych, starych w wieku od 50 do 70 niejednokrotnie lat, których sprawność i energia jest słaba.

Wprowadzić M. Spr. Wewnętrznych ustanowiło wiek nocnych lozorców na 25 do 55 lat. Niestety, ta granica jest w praktyce przekraczana, a organy policyjne ani pod względem wieku ani pod względem zdrowotnym koncesjonowanych kantorów dozorców nocnych nie lustrowały, za dawałnając się jedynie świadectwem moralności.

Rezultat wyszedł opłakany. Ilość posterunków zmalała do minimum. Dozorcami są źle wynagradzani starszakiowie.

Zegary kontrolne, zainstalowane są zaledwie w części posterunków.

Pozostawia dużo do życzenia wykwapowanie.

Kantorów dozorców nocnych

mamy obecnie w Warszawie trzy.

Po za świeżo otwartą firmą „Wartownik”, na której czele stoi p. H. Lange, b. kierownik Brygady Kradzieżowej P. P. na m. Warszawę, są to imprezy niefachowe.

Właścicielką firmy „Straż Nocna” jest np. p. Zofia Kasimirowa, była urzędniczka komitetu Floty Narodowej, gdzie prowadziła kancelarię działu stołeczne go.

Kierownikiem trzeciej firmy: „Warszawskiego Tow. Ochrony Mienia” jest p. Efrat, kupiec (!) branży trykotowej.

Wobec takiego stanu rzeczy są próby ratunku w utrzymywaniu stróżów t. zw. „dzikich”, którym poszczególne grupy kupców, ale to bynajmniej sytuacji nie polepsza.

Kwestja bezpieczeństwa mienia stanowczo jest postawiona u nas bardzo źle i domaga się gwałtownych reform.

Potworny... Dudek

Feliks Dudek okazał się... potwornym dudkiem.

Miał on wczoraj przy drzwiach zamkniętych rozprawę o zbrodnicze zakusy względem 9-letniej dziewczynki, którą podstępnie zwabił czekoladkami na schody. Ohydne praktyki nie udały się.

Dziecko głośnym krzykiem alarmowało lokatorów, którzy zatrzymali „romansownie” usposobionego Dudka.

Sąd skazał go za usiłowanie czynu nierządowego na 1 rok więzienia.

Dolary i niemowlę nieswiadomego pochodzenia

W czterech ścianach mieszkania, państwa Kryńskich, przy ul. Królewskiej 31, stał się cud.

P. Gabriel Kryński, stały mieszkaniec Berlina, bawiący przejazdem w Warszawie, stał się bohaterem eksperymentu, który kosztował go dość drogo, jak na dzisiejsze czasy, bo aż 300 dolarów amerykańskich, 4.000 franków, 20 lei rumuńskich i 20 złotych.

Tyle gotówki miał w kieszeni

marynarki. Gdy marynarkę tę zdejmował z powodu gorąca, w pokoju znajdowały się tylko cztery osoby: brat, Naum, żona jego, służąca Irena Cieślakówna i on.

Gdy p. Kryński miał wracać do siebie do hotelu i kładł marynarkę, zauważył dziwną jej lekkość. Portfelu z pieniędzmi nie było.

Powstała głupia sytuacja. Ko go oskarżyć o kradzież?

Policja zwróciła uwagę na służącą, przeciwko której przemawiały niektóre szczegóły: na trzy dni przed wypadkiem przyszła do pracy, nie upominała się o należną zapłatę, choć zazwyczaj brała pieniądze z góry i miała dolary, z których 25 zapłaciła dr. Ogrodowczykowi jako honorarium za odbyty poród.

Cieślakówna nie przyznała się do dwóch rzeczy: kto był ojcem niemowlęcia i skąd wzięła dolary. I to zaważyło na jej losie.

— Ciepło mi było...
— Nie chcę ponownie stykać się na pustej ulicy z pijanym, p. Z., zamiast się zatrzymać, przyspieszył kroku.

Widząc, że pijany goni go już biegiem, p. Edmund rzucił się do ucieczki.

— Stać! — wrzeszczał pijak.
— Trzymaj go! Łapaj! Stać!
Ujrawszy w oddali mundur policjanta, p. Z. nabral odwagi i zatrzymał się. Pijak podbiegł do niego zdyszany i znów przytknął rękę do czapki.

— Prze...praszam pana bardzo, ale mi znów papieros zgasł...

— Dlaczego mnie pan gonisz?
— Wybuchnął p. Edmund.
— Goniłem, bo pan uciekał. No, dawaj pan ognia, bo mnie się palić chce!

— Nie jestem zapalniczką! — zbuntował się odważnie p. Edmund, widząc, że policjant jest coraz bliżej.

— Co?! Nie dasz pan odpalić? To ja ci, wpiente drapany, tak kom tangie w nos odpalę, że ci świeczki na choince w oczach staną...

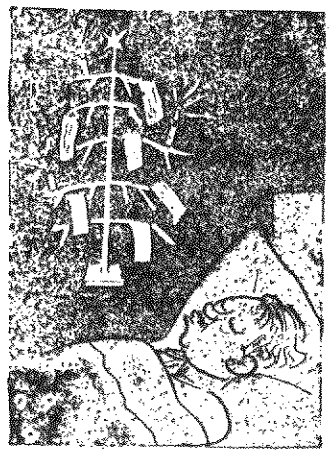
Policjant nadszedł o 5 sekund za późno. Pan Edmund leżał już z rozbitym nosem na chodniku.

Pijak, jak się okazało, Walerjusz Ciuk, posiedzi za to, z mocy wyroku Sądu Grodzkiego, 2 tygodnie w areszcie.

Wizytówka tej pani wygląda pocieszająco: 4 lata, 2 lata i 8 miesięcy, 8 miesięcy... Wszystko oczywiście terminy kryminału...

Wczoraj do tego doszło jeszcze 2 lata. Czarno ubrana dama urządziła na sali sceny placzu, gdy sędzia Lewandowski polecił osadzić ją z miejsca w więzieniu.

Wesoły Kącik



PRAGNIENIA GWIAZDKOWE

Nic łatwiejszego, jak przed świętami Bożego Narodzenia na pisać feljeton. Wystarczy wziąć ołówek, kartkę papieru, odwiedzić parę osób i spisać ich marzenia gwiazdkowe.

Tak też zrobiłem. Przędęwszy stkiem udałem się do kupca, pana Korzonka.

— Co szanowny pan chciałby dostać na gwiazdkę?

Kupiec złożył ręce jak do modlitwy i spojrzał błagalnie w niebo.

— Chciałbym — szepnął — namiętnie — dostać wszystkie wystawione przeze mnie i niewykupione weksle.

— A pan? — zwróciłem się do znajdującego się akurat w sklepie, dostawcy pana Korzonka.

Dostawca również wzniósł oczy ku niebu...

— O Boże! — jęknął. — Chciałbym dostać gotówkę za te weksle, które mi pan Korzonka wystawił.

Machnąłem pogardliwie ręką na tych prozaicznych ludzi i poszedłem do pewnej starej panuy.

— Coby pani caciąga dostać od św. Mikołaja?

— Nicbym nie chciała dostać. Chciałabym, żeby mi św. Mikołaj odebrał...

— Co?

Panna westchnęła żałośnie.

— Choć z 15 lat.

Następnie udałem się do pewnego młodego małżeństwa. Zastałem tylko panią domu.

— Coby pani chciała, żeby mąż pani dał na gwiazdkę?

— Chciałabym... — zaczęła młoda mężatka i nagle wybuchła płaczem.

— Co się pani stało? Dlaczego pani płacze?

— Bo... bo... to, co ja bym chciała na gwiazdkę, jest za drogie...

Pocieszyłem strapioną niewiastę i poszedłem do właściciela domu w którym mieszkam.

— Co kochany pan pragnąłby widzieć na swej choince?

Gospodarz zgrzytnął zębami.

— Chciałbym, żeby pan wisiał na mojej choince i żebym po świętach mógł pana razem z choinką wyrzucić z mego domu na zbity łeb!

Zbrodnie paryskie

(m.) Było ich trzech. Najstarszy liczył dopiero 20 lat. Pracowali w charakterze kelnerów w jednej z kawiarni. Jeden z nich, Guenaut, miał bardzo bogatą ciotkę. Opowiedział o tem swoim kolegom i już nazajutrz uplanowano napad rabunkowy. Wieczorem trzech kelnerzy włamywacze dostali się do willi ciotki Guenaut, 70-letniej Alicji Hell i, korzystając z jej nieobecności, skradli 1000 franków. Gotówka szybko rozeszła się i wówczas postanowiono powtórnie dokonać włamania do willi wdowy Hell. I tym razem wyprawa udała się. Młodzi włamywacze obłowili się 2000 franków, które podziлили między sobą.

Za trzecim razem, gdy dostali się do willi, zastali p. Hell. Ujrawszy włamywaczy, wdowa wszczęła alarm. W tym momencie kelnerzy rzucili się na nią, obalili na ziemię, a jeden z nich udusił starszkę.

Na wieść o morderstwie, policja wszczęła energiczne dochodzenie, które doprowadziło do ujęcia młodocianych zbrodniarzy. Dziś odpowiadają oni przed sądem przysięgłych. Grozi im kara śmierci.

Podobny mord rozegrał się również w Paryżu w ostatnich dniach. 19-letni Jean Dureux, biedny młodzieniec przynosił właścicielce niewielkiego sklepu na „Avenue Filipa Augusta”, 52-letniej Mary Claire — gruski. Litując się nad biednym sprzedawcą, p. Clair dała mu w formie wsparcia kilkaset franków. Rozzuchwiliło to Dureuxa: zjawił się w mieszkaniu p. Clair i przygotowanym topem narzedziem uderzył ją kilkakrotnie w głowę. Kobieta padła na ziemię w kałuży krwi, a po chwili wyzionęła ducha. Zbrodniarz począł gorączkowo szukać gotówki, ale znalazłszy tyłko paraset franków, zbiegł. Schwytano go tego samego dnia, gdy samotnie błądził po ulicach miasta.

Kronikę kryminalną Paryża można zamknąć następującą tragedją. 16-letnia Madelaine Baud, córka zamożnego kupca zakochała się w nowopryjętym subjeckie, 18-letnim Augustie Rohe. Po kilku dniach młodych znaleziono bez życia w mieszkaniu kupca. Z pozostawionego listu, wynika, że postanowili odebrać sobie życie, gdyż nie wierzą, by p. Baud zgodził się na ich małżeństwo. Jak się okazało Rohe wprzód zastrzelił Madelaine, a następnie popełnił zamach samobójczy.

Dynamit ratuje ryby
Inżynierowie amerykańscy mieli stawiać tamę na rzece Warrior w stanie Alabama, U. S. A. Roboty, związane z tem, jak również częściowa zmiana koryta rzeki, wymagały ogromnych podmiotowań i wybuchów na dnie. Zachodziła obawa, że w trakcie tych robot zostanie zabite setki tysięcy ryb, w które rzeka Warrior obfituje.

Aby temu zapobiec, zainstalowano pod wodą cały szereg małych min dynamitowych, których detonacje, nieszkodliwe, wypłoszyły ryby z niebezpiecznego dla nich miejsca, ratując im w ten sposób życie.

Pamiętajcie o bezrobotnych

Przepraszam, proszę o ogień

Ostrożnie z „odpalaniem” na ulicy!

(S. F.) Kryzys i nastroje oszczędnościowe przyczyniły się do tego, że człowiek palący papierosa, nie może przejść spokojnie przez ulicę. Co chwila ktoś go przeprasza i prosi o ogień. W ten sposób w Warszawie jedną zapalną zapala papierosa przeciętnie około stu osób. Odbija się to ujemnie na dochodach monopolu zapalczanego i podobno jest projekt, żeby zabronić policyjnie „odpalania” papierosów na ulicy.

Za tym projektem będzie stanowczo p. Edmund Zawadzki, któremu się przydarzyła następująca przygoda.

Szedł późnym wieczorem ulicą, kiedy nagle podszedł do niego jakiś podchmielony, dobrze zbudowany, jęgomość i przytknął rękę do czapki.

— Pan szan...owny, pozwól ognia.

P. Edmund wyjął niechętnie z ust papierosa i podał go nieznanemu.

Pijany długo lawirował zanim trafił, wreszcie jednak papieros się zatlił.

P. Edmund, nie mogąc dłużej wahać wyziewów wódki, nie czekał na podziękowanie i odszedł szybkim krokiem. Ale po chwili usłyszał, że ktoś go goni i woła.

— Panie! Pst! Pst! Czekał pan! Nie leć pan tak przedko, do jasnej cholery, bo zdążyć nie mo-

giał!

Obeczał się. Za nim szedł ten sam pijak i dawał znaki ręką.

Nie chcąc ponownie stykać się na pustej ulicy z pijanym, p. Z., zamiast się zatrzymać, przyspieszył kroku.

Widząc, że pijany goni go już biegiem, p. Edmund rzucił się do ucieczki.

— Stać! — wrzeszczał pijak.
— Trzymaj go! Łapaj! Stać!
Ujrawszy w oddali mundur policjanta, p. Z. nabral odwagi i zatrzymał się. Pijak podbiegł do niego zdyszany i znów przytknął rękę do czapki.

— Prze...praszam pana bardzo, ale mi znów papieros zgasł...

— Dlaczego mnie pan gonisz?
— Wybuchnął p. Edmund.
— Goniłem, bo pan uciekał. No, dawaj pan ognia, bo mnie się palić chce!

— Nie jestem zapalniczką! — zbuntował się odważnie p. Edmund, widząc, że policjant jest coraz bliżej.

— Co?! Nie dasz pan odpalić? To ja ci, wpiente drapany, tak kom tangie w nos odpalę, że ci świeczki na choince w oczach staną...

Policjant nadszedł o 5 sekund za późno. Pan Edmund leżał już z rozbitym nosem na chodniku.

Pijak, jak się okazało, Walerjusz Ciuk, posiedzi za to, z mocy wyroku Sądu Grodzkiego, 2 tygodnie w areszcie.

Wizytówka tej pani wygląda pocieszająco: 4 lata, 2 lata i 8 miesięcy, 8 miesięcy... Wszystko oczywiście terminy kryminału...

Wczoraj do tego doszło jeszcze 2 lata. Czarno ubrana dama urządziła na sali sceny placzu, gdy sędzia Lewandowski polecił osadzić ją z miejsca w więzieniu.

Napoleon Sądok

W pogoni za Anielą

Poszukiwania Oczeretowicza na głównej poczcie w Warszawie doprowadziły do ustalenia domniemania, że p. Anielą Sławowska znajduje się bądź w Skierniewicach, bądź w Koluśkach, lub w okolicy. Wbrew życzeniu, wyrażonemu w ostatnim liście, by nie zakłócać jej spokoju, na gorące prośby inżyniera Stefana T. postanowiliśmy ją odnaleźć i pojechać oboje zakochanych.

Do dalszych poszukiwań w towarzystwie inżyniera został wydelegowany Oczeretowicz. Wczoraj rano wyruszyli w drogę. Żegnani byli przez zespół redakcyjny życzeniami po myślnych wynikach, a personel drukarni naszej, który bardzo wziął sobie do serca sprawę Anieli, nie szczędził okolicznościowych wskazówek.

— Skierniewice znam, jak własną kieszeń — zapewniał Tabiszewski, mistrz linotypu, dlatego radzę rozpocząć poszukiwania w Skierniewicach od bufetu kolejowego.

— Też masz pomysły! — obruszył się Skotak, metrampaż.

— Tabiszewski ma rację — wtrącił swą uwagę Pietrusiński, prezes naszych drukarzy. W małych miastach dworce są centralami informacyjnymi.

— Na takim dworcu, to jak w maglu można o wszystkim się dowiedzieć — dorzucił znów Muraszew, drugi linotypista. Jabym redaktorowi radził spenetrować wszystkie knajpy. Anielą jest piękna, więc kto by tam przy kieliszku nie rozwią-

zał języka i nie wypowiedział się o takim cudzie.

— Głodnemu chleb na myśli — pobłażliwie roześmiał się Matuszewski, weteran sztuki drukarskiej. Szukać trzeba wszędzie, dokładnie, sumiennie, bo tu chodzi o honor gazety.

— Redaktor da sobie radę, a do knajp zaglądać nie radzę, bo za wielka pokusa, a na czasie zależy — uciał filozoficzna perorę Krepicki, zecer roczny, który te sprawy zna z własnego doświadczenia.

Rozległ się tubalny głos naszego Herkulesa, mistrza od

maszyny rotacyjnej — Rowińskiego.

— Niema gadania! Szukać trzeba dobrze i redaktorowi nie trzeba o tem przypominać. Ja uważam, że adresy prywatnych osób, zasiedziały w Skierniewicach i Koluśkach, mogą się przydać, dlatego przygotowałem całą listę.

A Chyczewski, trzeci linotypista, dorzucił swym dyszkantem:

— Ja mam rodzinę w Koluśkach. Ona chętnie pomoże redaktorowi.

— Panie redaktorze, niech pan weźmie ze sobą Witka.

Wysoki, jak słup telegraficzny, więc wystarczy go postawić na jakimś placu, a wypatrzy co potrzeba, na przestrzeni kilku kilometrów wokół — odezwał się Mieczysław Tyszkiewicz. Młody, zdrowy, więc dowcipy się go trzymają, a zresztą sam mógł służyć za słup do lampy łukowej.

— Dziękuję panom za rady, lecz nam już czas w drogę.

— Powodzenia!

— Szczęśliwej podróży!

— A nie wracajcie panowie bez p. Anieli!

Zgodnym chórem żegnano odjeżdżających. Zawarczał motor samochodu, zrzutył hamulce i silna maszyna poderwała się tygrysim skokiem do biegu.

Umówione zostało, że Oczeretowicz będzie z drogi informował telefonicznie redakcję o wynikach swych poszukiwań. Po południu rozległy się ostre, niecierpliwie dzwonki.

— Hallo! — przyjął telefon red. Krzepkowski.

— Tu międzymiastowa. Skierniewice będą mówiły.

— Hallo! Hallo!

— Mówi Oczeretowicz. Mle-tek, to ty?

— Tak. Co słychać?

— Narazie źle słychać, bo widocznie na linii jakieś uszkodzenie.

— Mów, co było dotychczas.

— Mamy za sobą przemłą przejażdżkę z Warszawy do Skierniewic. Drogi pierwszorzędne. Maszyna cacko. W ta-

ki sposób powinno się odbywać podróże poślubne.

— Zapamiętaj to sobie. Przyda ci się w przyszłości. Jak w Skierniewicach?

— Dziura. Można nabyć kartar kizerek na tujejszych „kocich łbach”. Podbił nas tak, że mogliśmy dziury w niebie wiercić. Ludzie natomiast są bardzo poczcwi. Raz - dwa zwachali, co się święci, i poma gają nam jak mogą. Poszukiwania w urzędach nie dały wyniku. Panna Sławowska nie jest meldowana w Skierniewicach. Ciągniemy za język skierniewickich obywateli. Pokazujemy fotografie Anieli. Dotychczas spotykają nas tylko wzruszenia ramion.

— Piękna, bo piękna — powiadała, ale nietutejsza.

— Co więc zamierzacie dalej robić?

— Inżynier pojechał na peryferje. Może tam wśród rozsiadanych domków na jakimś ślad natrafi. Zatelefonuje więc za godzinę. Narazie dowidzenia.

— Czekamy na twój telefon niecierpliwie. Dowidzenia!

Po godzinie znów zabrzmiał dzwonek telefonu ze Skierniewic. Oczeretowicz krótko zdał relację:

— Inżynierowi nie powiodło się. Nie znalazł. Mamy pewność, że panny Anieli niema w Skierniewicach, ani w najbliższej okolicy. Jedziemy zaraz do Koluśzek. Może tam szczęście nam się uśmiechnie.

— Zabra telefonuj!

— Dobrze! Dowidzenia.

Znów minęło kilka godzin oczekiwania. Już zaczęliśmy się niepokoić, że od Oczeretowicza niema wiadomości, już zaczęliśmy snuć różne przypuszczenia, gdy późnym wieczorem stacja telefonów międzymiastowych zapowiedziała telefon z Koluśkami.

— Wiwat! Oczeretowicz będzie mówił.

Za chwilę odzywa się jego głos w telefonie:

— Powiem wam tylko krótko, bo się strasznie śpieszę: mamy już adres panny Anieli.

— Więc znajduje się w Koluśkach?

— Tuż przy Koluśkach. Dajcie mi, że więcej wam teraz nie powiem. Inżynier nie może już ustać na miejscu. Ja także. Pełnym gazem jedziemy pod wskazany adres. Panna Anielą mieszka u swej koleżanki, p. W. Nazwisko jest narazie naszą słodką tajemnicą. Bywajcie! Nocuję w Koluśkach. Jutro rano zatelefonuję. Dobranoc.

Nie pomogły natarczywe pytania, Oczeretowicz rzucił słuchawkę i widocznie zaraz z inżynierem pognął do mieszkania p. Anieli. Nie pozostaje więc nam nic innego, jak zapewnici Czytelników, że jutro zamieścimy dalszą relację o losach Anieli i inżyniera.

JEDNO MAŁE „ALE”...

Ze człek w święta chce popić — to nie jest rzecz zdrożna,

Zawsze pojeść i popić z przyjaciółmi można!...

Ze na święta człek więcej ma potrzeb niż codnia,

No, to nie jest przestępstwo, ani żadna zbrodnia!

A przecież jest w tem wszystkim jedno małe „ale”...

Które trzeba powtarzać wytrwale i stale, —

Z n a j m i a r e j i pamiętaj, że po świętach trzeba

Mieć pieniądze na kromkę powszedniego chleba!

Człek, co myśli o jutrze — to prawda nie nowa,

Cząstkę wyda, a resztę do P.K.O. schował!

Pod sąd opinii rodziny czytelniczej naszego pisma

Dziś naszymi szpaltami władca p. „Władca”, której list po usunięciu zbyt już krewkich wycieczek osobistych pod adresem innych „sędziów”, brzmiał krótko, ale zato bardzo „węzłowato” w ten sposób:

„Drogi „Przyjacielu”! Śmiało żyj z każdą, do której czujesz choć trochę sympatii (o miłość trudniej na tym świecie)! Gwizdaj na opinie głupich (mądry tego nie potępi)! O żonie, gdy Ci nie odpowiada, nie myśl wcale! Dzieckiem się czule opiekuj! I zawsze rób w życiu tak, jak Ci wygodniej. Abyś tylko żył w zgodzie ze swem sumieniem. To wystarczy.

Znam te „święte” kapłanki do mowego ogniska. Gdy chcą mieć lepsze ponoczocho czy inne fatalaszki, nie zawahają się kupczyć swem ciałem, a już w najlepszym razie mają stałych kochanków, przynajmniej większość.

Nie przeczę, są między nimi kobiety prawdziwie uczciwe i dobre żony, lecz nie brak ich również wśród wzgardzonych „kochanek”. Są przecież ludzie bezwyznaniowi (sama znam wiele takich). Cóż oni mają robić? Ślubu kościelnego wziąć nie mogą, bo to niezgodne z ich przekonaniami, a cywilnych w jednej jedynie Polsce (i to właśnie tylko w b. „Kongresówce”) niema.

Włec co mają robić? Iść za głosem serca, nie dbając o to, co tam jaki krętyn wygaduje... Nie zadawać się z takim szczerkaczem i już!!!

Teraz zaś oddajemy głos p. Janinie C. B., która, korzystając

z prawa jednorazowej repliki, tak broni się przed atakami p. Hanki L.:

„Nie cotam niczego z tego, com powiedziała na kochanki, bo gdyby nie one byłoby dużo lepiej na świecie. Niejeden mąż czynna ustąpiłby swojej żonie, powiedziałaby sobie: „Trudno, żona jest nerwowa, poza tem może i ma trochę racji, zresztą, mądry głupim ustępuje, więc i ja jej, a po pewnym czasie sama zrozumie, że źle ze mną postępowała”. Ale ponieważ narobiło się ostatnio tyle tych kochanek, więc mężczyzna nie da sobie powiedzieć, tylko od razu mówi: „Zle ci? To cię wyrzucę!”

Czasami zaś znów tak bywa, że widzi: dużo dzieci, potrzeby znaczne, pracuje tylko dorywczo, nie mając stałego zajęcia, lubi sobie podpić, więc tem bardziej pieniędzy brak — żona mówi: „Bój się Boga, co ty robisz?”, a on na to: „Po cholere się żeniłem?”, zostawia wszystkie i szuka sobie innej, oczywiście, samotnej, która pracuje. Wtedy, jak chce, to robi, a jak nie, to nie, bo kochanka da. Włec i on jej nadśkakuje, jak może, jest dla niej bardzo do-

bry i powiada: „Teraz dopiero żyję”.

Jeżeli zaś on pracuje, to ona jak tylko może, tak mu się przy miła, ulega mu we wszystkim, wszystko od niego znosi cierpliwie, bo musi — jedno słowo, a może ją rzucić i odejść, jak przyszedł. P. Hanko, ja żyłam z mężem siedem lat, ale ilekroć mu zwróciłam jedną choć uwagę, to on zaraz uciekał. Potem wracał, przeproszał, przyrzekał, że teraz już będzie dobry. Okazało się wszakże, że został taki sam. Wtedy ja, na podstawie zeznań świadków i dowodów zdrady, uzyskałam przez Sąd Apelacyjny separację i w końcu wyszło, że ja go rzuciłam.

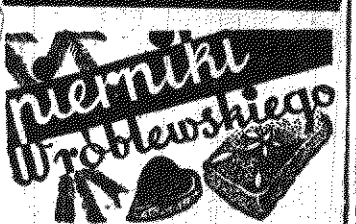
Teraz żyje cicho i spokojnie z dziećmi, pracuje, nie mam kochanki, bo już się przy mężu dość mężczyzny najałdam. On zaś żyje z tą ładacznica, która właśnie była przyczyną naszego rozłączenia się. Choć tam u nich Sodomą i Gomorą, to jednak ona mówi: „Dobry, dobrze mi z nim, zawsze lepiej, jak samej”. Mówi tak, bo musi. A dlaczego musi? Bo gdy się zdarzy awantura w małżeństwie, to kobiety żalują i mówią, że szkoda jej, a jeżeli między kochanka

mi — to mówią: „Dobrze jej tak, tej małpie!” Dlatego też ona właśnie, choćby jej było nie wiem, jak źle — nie powie!

Przez to właśnie jestem zła na kochanki i gdybym mogła, tobym je wszystkie wytrula.

P. Hanko L. pisze, że jej znajomy jest szlachetny, porządny i t. d. Czy jego szlachetność polega na tem, że badac żonaty, kłamał, że jest kawalerem... że Pania namówił do uległości... że z Panią żyje...? Niech Pani wie, że szlachetny mężczyzna nigdy, nigdy nie skłamię, a zwłaszcza nie namawia swej na rzeczonoj do... Czy Pani jest pewna, że on teraz Pani nie oszukuje? Bo kto raz skłamał, temu drugi raz nie radzę wierzyć.

P. Hanko prosze się strzec, aby to Pani szczęście nie skończyło się nieszczęściem!”



Jeśli Pani podaruje mężowi na Święta KOLEKCJĘ PAPIEROSÓW
 Polskiego Monopolu Tytoniowego, to małżonek będzie mógł się pochwalić wytwornym gustem i pięknym podarkiem swej Małżonki.

NA RATY Ilbory Damskie i Męskie, oraz futra gotowe, na zamówienie — poleca „SOLIDRAT” Plac Trzech Krzyży 3 m. 16 w podwórzu, parter. Ceny znacznie niższe. Spłaty według możliwości klienta.

DZIECKO GRZECHU

Tragiczne przeżycia kobiety, która zgrzeszyła

Mieczysław milczał uparcie...

Powtórzyła:

— Domyślam się wyraźnie, że w życiu pańskim albo istot, drogich panu, kryje się jakaś straszliwa tajemnica. Czuję, że to ona stoi na przeszkodzie naszemu szczęściu. Dlaczego nie chce mi pan tego powiedzieć?

Mieczysław milczał w dalszym ciągu, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Lusia rzekła:

— Widzę, że się nie mylę. Cóż pan zamierza teraz?

— Wyjechać...

— I nigdy, nigdy pan już nie wróci? — zapytała szeptem, bo lzy dławily jej gardło.

— Nigdy...

— Więc... niech mnie pan posłucha... Ponieważ uważam, że pan jest godzien mojej miłości, kocham pana i kochać będę nadal. Ponieważ zaś na drodze naszego szczęścia stoi jedynie tajemnica życia pańskiego, tajemnica, której nie chce mi pan ujawnić... przysięgam panu... słyszy pan?... przysięgam, że tę tajemnicę wykryję, gdybym nawet miała na to wydać cały mój... bardzo wielki... majątek... żebym miała zostać nędzarką... żebym nawet życie miała przytem postradać — wykryję ją... bo i tak życie moje bez pana byłoby dla mnie piekłem...

Mieczysław złożył ręce, jak do modlitwy i szeptał błagalnie:

— A ja błagam panią na wszystko... jeżeli pani mnie doprawdy kocha, może pani to udowodnić tylko spełnieniem mojego błagania: niech pani nawet nie próbuje przeniknąć tej tajemnicy... Niech pani nie czyni w tym kierunku najmniejszego kroku... To moja ostatnia, pożegnalna prośba...

— Czyż to coś aż tak okropnego?

— Ani słowa nie powiem o tem... Zaklinam panią tylko na naszą miłość: proszę nie dowiadywać się o niczem...

Lusia potrząsnęła głową. Rzekła stanowczo:

— Nie!... Ponieważ moje życie już i tak jest złamane, niech więc przynajmniej, wiem, dlaczego... Niech pan nie prosi... niech pan nie błaga... Wszystko daremne. Pan wie, że mnie nazywają „dzikuską”... Pan na jakiś czas uspił we mnie moje dzikie popędy... teraz zaś rozbudził je pan do tem silniejszego szalu...

Nikt i nic na świecie nie przeszkodzi mi w dopięciu mojego celu...

— A co, gdy ten cel przyniesie pani rozpacz i katusze, o jakich pani nie ma nawet wyobrażenia?

— Będę rozpaczała wraz z panem i wszystkimi innymi.

Mieczysław pomyślał sobie:

— Na szczęście i tak nigdy prawdy się nie dowię... Niech szuka...

Lusia musiała to wszakże wyczytać w jego oczach, bo rzekła głośno:

— Myli się pan, panie Mieczysławie... Ja się dowiem!

Spojrzeni po sobie. Wpatrywali się tak w siebie dłuższą chwilę, nic nie mówiąc. Potem gwałtowność Lusi nieco zmiękła. Jej głębokie oczy zaszkliły się łzami. Widząc to, Mieczysław poczuł w sercu ból straszliwy, wyrzuty sumienia, litość, bezradność i... miłość, wielką, ogromną miłość...

Lusia szepnęła łagodnie, choć jeszcze ze stanowczością:

— Ja się dowiem... z pewnością... Muszę się dowiedzieć. Tak chcę i tak będzie. A teraz... skoro pan musi odjechać i nie chce pan mnie więcej widywać, proszę, niech pan jedzie... Odzyskałam już mój spokój i moje siły... bo mi są teraz potrzebne do spełnienia mojego zadania. O, bo bynajmniej nie tracę nadziei, że dokonam swego... choćby pan mnie nie wiem jak chciał zrażać... Niech pan jedzie... Kochać pana i tak nie przestanę... Dowidzenia...

Podala mu obie ręce. Poczul, jak mu uściśnęła dłonie drząc, namiętne. Zataczał się na nogach, niemal nieprzytomny żegnał się z Gorczakami. Rzekł:

— Na zawsze...

I uciekł, zostawiając Gorczaków, niemniej bodaj zasmuconych, niż Lusię, która tegoż wieczora zapytała Gorczaka:

— Czy znasz tajemnicę, którą ukrywa przede mną Mieczysław?

Wierny przysiędze, Gorczak zaprzeczył. Nato Lusia zwróciła się do Janiny:

— Może od ciebie się dowiem?

Ale też się nie dowiedziała. Rzekła więc bez gniewu, z łagodnym uśmiechem:

— A ja wam powiem, że taka tajemnica istnieje. Jeżeli o niej nic nie wiecie, więc ja się sama dowiem całej prawdy i nie omieszkać podzielić się nią z wami!

Nazajutrz Gorczak otrzymał od Mieczysława list tej treści:

„Nie miałem odwagi przyjść do Pana Prezesa z wizytą pożegnalną. Bardzo proszę mi wybaczyć. Do grobowej deski nie zapomnę wszystkich łaskawości, jakich doznałem od Pana Prezesa, szczerem łaski zaś było tak dla mnie zaszczytne zaofiarowanie zaliczenia mnie do Jego rodziny. Niestety, z tej szlachetnej współmiłośności skorzystał mi nie wolno...”

Gorczak nie pokazywał nawet tego listu Lusi, nie chcąc potęgować jej rozżaleria.

Lusia nie zadała mu już żadnego pytania w związku z Mieczysławem. Stała się jakaś dziwna. Nie płakała. Była tylko czemś bardzo zajęta. Musiała snuć jakieś tajemnicze plany. Gorczak i Janina czuwali nad nią ze zdwojoną bacznością.

Minęło parę tygodni od wyjazdu Mieczysława; a u Gorczaków zupełnie nie było o nim mowy. Nikt nie chciał snuć poruszać tego bolesnego tematu.

Wreszcie pierwsza odczwała się Lusia, oświadczywszy Gorczakowi pewnego dnia ni stąd ni zowąd:

— Najwyższy czas, abym rozpoczęła moje poszukiwania.

Gorczak aż się zerwał z krzesła. Zapytał:

— Co za poszukiwania? Nic nie rozumiem...

— Muszę poznać dokładnie przeszłość Banowicza.

Wszelki sprzeciw był zgóry skazany na niepowodzenie. Lamac wolę Lusi, zwłaszcza postanowienie tak niezachwiane, byoby nietyko rzucaniem grochu o ścianę, ale — igraniem z ogniem. Gdyby się jej teraz oprzeć, rozchłowałaby się z gniewu. Taka to już była „dzika” natura. Zresztą, Gorczak osobiście uważał już dawno, że trzeba Lusi powiedzieć całą prawdę o dramacie w leśniczówce, przy którym przecież była obecna... choć nieprzytomna. Uczyniłby to już nieraz, gdyby nie był związany złożoną wobec Mieczysława przysięgą. Pomyślał więc sobie: niech się sama dowie. W ten sposób sprawa będzie wyjaśniona, a przysięga nienaruszona.

Tymczasem Lusia mówiła dalej:

— Ale jest taka sprawa, że uda mi się dopiąć celu, tylko mając do rozporządzenia większe sumy pieniężne. Czy mogłabym cię prosić, ojczu, o udzielenie mi ich?

Dalszy ciąg nastąpi.

IKS.

W cztery oczy

Intymne rozmowy z Czytelnikami

P. A. B. C. D.

Czyli osoba, rzecz można, abecadziowa, i, jak pisze, „strasznie zapamiętała” zwoiczniczka naszego pisma, usilnie prosi o wydrukowanie jej listu, brzmącego następująco:

„O godz. 4 m. 45 pp., czekając na tramwaj przy zbiegu ul. Marszałkowskiej i Koszykowej, zauważyłam męczyznę, który, jak się później okazało, czekał na tramwaj „0”. Przyglądał mi się tak uparcie, że aż odeszłam o parę kroków dalej. Czulałam w dalszym ciągu na siebie jego wzrok. Wydawało mi się, że chciał mnie o coś zagadnąć, ale musiałam go odstraszyć wroglem spojrzaniem w jego stronę. Byłam już wściekła, bo jak na złość zaczął padać deszcz, mój tramwaj nie nadchodził, a ów pan wreszcie ośmielił się i powiedział mi: „Zmoknie pani kapelusz”. Byłam tem tak oszołomiona, że nawet nie zdążyłam nic odpowiedzieć. Gdy już nadeszło „0”, wsiadłam do niego i klaniał mi się stamtąd ślicznie. Bardzo ślicznie. Widząc to, odwróciłam się szybko, co go bardzo dziwiło.

Miał ciemnopopielaty garnitur i nieco jaśniejszy kapelusz. lat 30 — 40, zdaje mi się, że wra-

cał z biura.

Proco to pisze? Bo zainteresowałam się tym panem, który tak bosko umie się klaniać. A właściwie nawet netyfł nim, ile tem, dlaczego mu było tak przykro, że musiał odjechać. Chciałabym, żeby mi to tylko powiedział.

Jakże mu o tem dać znać, jeżeli nie przez nasze pismo? Albo je czyta, to zapewne, zechce mi dać odpowiedź na to moje zupełnie przecież niewinne pytanie, albo nie czyta — wtedy to nieciekawo człowiek i wogóle nic już mnie nie będzie obchodził!

Bardzo słuszne stanowisko. Czy może być interesującym i miłym ktoś nieczytający naszego pisma? Mojem zdaniem, nie. Przytem jaka wygoda: pokrewieństwo przez należenie do wspólnej rodziny czytelniczej nie jest według praw kościelnych i świeckich przeszkodą do zawierania małżeństw między poszczególnymi członkami tej rodziny. To bardzo ważne, nieprawdaż?

Za łaskawe serdeczne życzenia zdrowia (do 140 lat) najserdeczniej dziękuję w imieniu wszystkich kolegów i mojem własnem.

P. S. O. G. H.

Zasądniczo właściciel domu nie może Pana wyeksmitować z powodu hodowania przez Pana gołębi. Skoroby się wszakże okazało, że zachowanie się Pana w związku z hodowaniem gołębim zakłóca spokój publiczny lub obrzydza życie innym ludziom, sąd będzie mógł nakazać eksmisję Pana.

„Pesteczka”

ma, jak się okazuje, bardzo twarde orzech do zgryzienia i prosi nas, abymy jej służyli za „dziadka do orzechów”. A oto, jak opisuje swoją sprawę:

„Miesiąc zaledwie upływa, jak poznałam pewnego chłopca. lecz już kocham go do szaleństwa. A zarazem jestem bardzo nieszczęśliwa, gdyż mój kochany dryblasek zna niemal cały bataljon kobiet. Nie jestem zazdrosna, o, nie! Martwi mnie tylko jedno, że i ja wkrótce mogę być zaliczona do tego bataljona. Przez kilka dni byliśmy nawet w dobrej przyjaźni, a teraz zrobił się dla mnie nagle taki inny, taki obcy. Czuję, że radby mi powiedzieć: „Mam cię dość. Pesteczko, nudzę się przy tobie”.

Nie wiem, co go wstrzymuje, aby mi to rzec otwarcie. Już da-

wał mi delikatnie do zrozumienia, że nie lubi kobiet, które się narzucają, lecz ja staram się być przy nim do ostatniej chwili, do samego zerwania. Wiem, że to musi nastąpić, nawet nie chciałabym zniknąć mu z oczu i zapomnieć o nim, lecz nie mogę, bo gdy nadchodzi dzień, w którym mam go uirzeć, zapominam o wszystkich, wpatrując się w mojego ślicznego dryblaska z niewypowiedzianą rozkoszą.

Błagam Cię, Redaktorze, powiedz mi, co robić, aby mój dryblasek nie zdradził Pesteczki. Bo Pesteczka bardzo, bardzo, bardzo kocha swego dryblaska. Może Ty zdołasz go przekonać?”

Pesteczka ma trochę pstro w główce. Postaramy się zrobić tam jakiś taki porządek. Pierwszy powód nieszczęścia: „dryblasek zna cały bataljon kobiet”. A podług mnie to — szczęście! Jeżeli znając tyle kobiet, wybrał właśnie Pesteczkę — to tem większy triumf i powód do radości. Jedno nieszczęście więc — szczęśliwie zlikwidowane.

Dalej. Obawa, aby nie być zaliczoną do tego bataljonu. Nieszczęście! Oczywiście, być w bataljonie szeregowcem lub zgoła... kuchcikiem — to mnie; przyjemna rzecz, ale, sądząc ze wszystkiego, jest Pesteczka raczej na stanowisku czołowym, można powiedzieć — adlutantem przybończym dowódcy bataljonu. A więc — do poza-

zdrosczenia! Druga przykreść tem samem — załatwiona.

I rzecie: co dryblasek „chciał by” powiedzieć — to zupełnie nieważne. Skąd to Pesteczka może wiedzieć? Proszę sobie samę nie robić zmartwienia bez powodu.

Co robić, aby dryblasek nie zdradził już Pesteczki? Przedewszystkiem, nic jeszcze nie wiem, że zdradzał. W liście o tem nie było. Co robić, aby do tego nie doszło? Tak, jak dotychczas trwać przy nim do ostatniej chwili (bardzo słuszną taktyką!), ale nie zatrzymywać mu życia podejrzeniami, lub jakimś wymówkami, najzupełniej niesłusznymi, jak to już wyżej zaznaczyłem. Jeżeli doprawdy powiedział, że nie lubi, aby mu się narzucał, miał z pewnością rację na myśli podsuwanie mu zamiarów, które mu nawet przez głowę nie przeszły („bataljon”, „zdrada” i t. p. pesteczkowe „mądrości”).

Przekonywać dryblaska nie będę. Wstyd mi za Pesteczkę, że nawet może o coś podobnego prosić. Czy to Pesteczka taka ciapa i, że się, Boże, niedołąda, że z byle dryblaskiem nie może sobie dać rady?

Jak postępować — już powle działałam. Niech teraz Pesteczka ara się własnym przemyśleniem dryblaska zdoływać. Gdy chce zjeść jabłko, nigdy nie proszę, aby mi kto inny je rozgryził na miazgę. Najwyżej pozwalam je komu umyć lub obrać. Gryzę — sam...

Woleli śmierć w więzieniu, niż na morzu

Wstrząsająca tragedia 900 aresztantów

(gór.) Było to w roku 1892. W porcie, w Odesie szykował się do dalekiej drogi okręt „Kostroma”. Słychać było krótkie-urywane rozkazy, narynarze biegali jak opętani. Surowym okiem spoglądał na nich kapitan.

W ostatniej niemal chwili, gdy okręt miał ruszyć, na brzegu ukazał się jakiś wyższy oficer. Dawał ręką rozpaczliwe znaki. Ujrzawszy go z krętu, dano znać kapitanowi.

Po chwili oficer nadjechał to dzia, wszedł na pokład i, ujrzawszy kapitana, wręczył mu rozkaz piśmienny ministerstwa, z którego wynikało, że „Kostroma” ma zabrać ze sobą 900 aresztantów z ich rodzinami, skazanych na zesłanie na Sachalin. Kapitał osłupiał.

— Przecież okręt mój nie po mieści tylu ludzi! Nie ma miejsca. Nie ma żywności. Aresztanci powymierają, niczem muchy.

— Tak! Jest rozkaz — zauważył oficer i zsalutowawszy po wrócił do łodzi.

Nie było rady. Kapitan wydał swym oficerom zlecenia, za łoga została z miejsca uzbrojona, ukazały się paszce armat. Wszysko było już gotowe do przyłączenia aresztantów.

Po upływie godziny poczęto zwozić aresztantów. Na rękach i nogach brzęczały kajdany. Aresztantów eskortowało kilku set policjantów z obnażeniami szabliami. 900 zesłańców umieszczono na spodzie okrętu.

Pasażerowie, którzy zajmowali górne kajuty, dopiero w drodze dowiedzieli się, że jada razem z aresztantami. Wywołało to zrozumiałe wrażenie i wszyscy pasażerowie wysiedli w najbliższym porcie. Okręt, już tylko z aresztantami, umie rajacymi z głodu i wyczerpania jechał dalej.

Wpobliżu Sachalina „Kostroma”, śnać niezręcznie kierowana wpadła na podmorskie skały. Poprzez otwór w kadłubie poczęła się wdzierać woda. Katastrofa była nieunikniona. Kapitan, widząc co się dzieje, zmobilizował całą załogę, polecając nie wypuszczać aresztantów.

— Jak to — krzyknął jeden z oficerów — skazuje pan na pewną śmierć 1000 ludzi?

Kapitan wzruszył ramionami: „Nie mam na to rady” — odrzekł.

Wówczas oficer pobiegł do łodzi, wezwał do siebie kobiety i oświadczył im, że tylko one mogą wyostać się z tonącego okrętu.

Rozegrała się wstrząsająca scena. Kobiety, przerażliwie krzyżąc, pobiegły do kapitana, padły na kolana i błagalnie wznosząc ręce, prosily: „Zwolnij naszych mężów! Przysięgamy, że nie uciekną”.

Wzruszony prośbami, kapitan wreszcie wyraził swą zgodę.

Więźniów wypuszczono. Zachowywali się oni jak dzieci. Choć wielu z nich było skazanych na bezterminowe więzienie, fakt, że jednak unikną śmierci, był dla nich szczęściem. Po wielu trudach udało się wszystkim uratować.

Zarówno marynarze, jak i aresztanci oczekiwali na brzegu przez 10 dni na nadejście innego okrętu. „Kostroma” bowiem, gdy tylko opustoszała, po upływie godziny zanurzyła się w morzu.

Ciekawa rzecz, że nikt z aresztantów nie uciekł. A gdy przybył okręt bez oporu wchodził na pokład, zdążający do straszliwego więzienia.

Najlepszy interes to — grać w piłkę nożną

(m.) Niewątpliwie, jeśli chodzi o popularność piłki nożnej, pierwsze miejsce dzierży niepodzielnie Anglia. Nie jest tajemnicą, że na poważniejsze mecze publiczność uczęszcza tam masowo, a cyfry 50.000 — 80.000 nie są rzadkością.

Pieniądże wpływają strumieniami do kas klubowych, wżogacając w pierwszym rzędzie menażerów, a następnie zarządków klubów i graczy. W ub. sezonie do kas klubów angielskich wpłynęło dwa miliony funtów angielskich, a więc 60 milionów złotych.

Kluby angielskie są zorganizowane na wzór wielkich domów handlowych. Prowadzone są tam specjalne księgi handlowe, a nad wszystkim czuwa przysięgły buchalter.

wa, a nad wszystkim czuwa przysięgły buchalter.

Jest rzeczą ciekawą, że Anglia, która jak i inne państwa przeżywa kryzys — na tym odłuku życia — w piłce nożnej — nie odczuwa go zupełnie. Przyjął się nawet w sferach gospodarczych Anglii dowcip: „Jak chcesz zarobić, graj w piłkę”.

Znanym piłkarzom, grającym w czołowych klubach, powodzi się doskonale. Niektórzy z nich w ciągu kilku lat dorobili się dość znacznych sum. Użytkownicy gotówki, piłkarze zostali właścicielami najrozmaitszych sklepów. Ale na tem polu niezbyt im się powodzi. Odrębnie to sobie w stu procentach na gazetach w klubach.

Okazuje się więc, że mamy jednak grupę i to dość liczną, która w dzisiejszych, krwawych czasach, dorabia się fortun.

Śmierć czy letarg?

Chłopi nie dopuszczają lekarza do zbadania ofiary wypadku

(m.) Niebawym wypadku rozebrał się przed kilku dniami we wsi Tursza pod Mławą. Za mieszkali tam pewien chłop, Siwek, w czasie usypiania swego małego synka, nagle zachwiał się, upadł i stracił przytomność.

W chałupie wynikło niezwykle larum. Wkrótce po tem zebrało się kilku chłopów, którzy przystąpili do badania Siwka.

Jeden ze znachorów zaproponował, by na ciele Siwka ustawić szklankę z wodą. W wypadku, jeśli woda poruszy się w szklance, będzie to znakiem, że Siwek... żyje! Natychmiast ustawiono w mści zleceń szklankę na niersiach Siwka. I o dziwo, szklanka po chwili poruszyła się!

Obecni przy tem chłopci norwali Siwka za nogi i ręce i poczęli nim gwałtownie trząść! Rezultat był ten, że z ust i nosa Siwka buchnęła obficie krew, a twarz przybrała odrażającą, czarną barwę. Chłopi śmiało zrozumieli, że Siwek albo nie żyje, albo wnał w letarg.

Wobec tego, nie wzywając w dalszym ciągu lekarza, ułożyli Siwka w trumnie, poczem udali się do miejscowego proboszcza

z żądaniem, by urządził pogrzeb.

Zapoznawszy się z sprawą, ksiądz proboszcz odmówił żądania, polecając wezwać lekarza, któryby oficjalnie ustalił akt zejścia. Niezadowoleni z takiego obrótu sprawy, chłopci udali się z trumna na cmentarz i tam ułożyli ją w grobie.

Przysypano grób nieznanym.

nie, tak, by w wypadku, jeśli Siwek obudził się z letargu, mógł się wyostać z trumny.

Nie ulega wątpliwości, że sensacyjną tą sprawą zainteresują się władze.

Kupon
Bezpłatna
pomoc prawna

Świat w obliczu katastrof

(m.) Słynny astrolog paryski, Jean Goucheon, już teraz ogłasza swoje przewidywania na 1933.

Zdaniem Goucheona w r. 1933 rozegrają się dwa o doniosłym znaczeniu zdarzenia. Pierwsze rozegra się w połowie marca, drugie — w ostatnim tygodniu sierpnia. W marcu ma nastąpić pewne odprężenie, a mianowicie poprawią się stosunki gospodarcze. Jednym słowem świat dążyć będzie drogą pokoiową do naprawy ogólnych spraw.

W sierpniu tegoż roku — według przewidywań Goucheona Europa przeżyje krwawą rewolucję. Poleje się krew, padnie wiele ofiar.

4 i 5 czerwca nastąpi krach giełdowy we wszystkich państwach śr. - europejskich. We Francji ukaże się dotychczas

nieznany, młody polityk, który odegra decydującą rolę.

Największym wydarzeniem w Niemczech będzie ustąpienie prezydenta Hindenburga i wzrost wpływów Hugenbergów. W rodzinie b. cesarza Niemiec, Wilhelma II, zanotują śmierć wypadku jednego z członków. W Rosji rozpocznie się gwałtowny nawrót do dawnego ustroju kapitalistycznego.

Przewidziane są następnie 3 „naturalne” katastrofy: 20 marca, 28 kwietnia, 1. i 7. maja. Pierwsze dwie spowodowane zostaną strasznymi orkanami, które zniszczy wielki okręt. Będzie to tragedia równa katastrofie „Titanica”.

Takie są smutne przewidywania astrologa. Czy sprawdzą się? Na to znaleźliśmy odpowiedź dopiero za parę miesięcy.

NOWELA.

Parasolka

— Moja droga Zizi — mówił pan Pafnucy Pączek — to przecież niesłychane, jakaś ty rozstrągniona! O wszystkim zapominaś! Jestem pewien, że i o mnie wkrótce zapomnisz.

— No, to już przesada! — przerwała mu Zizi Kolanko, za rzuciła słuchne ramionka na szyję podstarzałego swego protektora — Jabyś zapomniła mego Nunusia! Nigdy! Wiesz przecież, że cię szalenie kocham!

Pan Pafnucy uwierzył. Ktoś postronny tego by nie zrobił: wystarczyłoby spojrzeć na zgrabną, osóbkę Kolankę, a potem spojrzeć na p. Pafnucę noszącego przed sobą bajecznie wypasiony brzuszek. Jest jednak kategoria ludzi, którzy nigdy nie tracą o sobie pochlebnego mniemania. Pan Pafnucy uwierzył.

Uwierzył i zapomniawszy wyrzucił. Jego najdroższa jednak sama mu je przypomniawsza.

Zupełnie przypadkowo. Właśnie pan Pączek rozczulony wiernością Zizi, odezwał się.

— Moja droga, przepraszam cię za moje wyrzuty. Wiem, że mnie kochasz. Tak mi przy tobie dobrze... Nie psujmy już wymówek tego wieczoru. Za siadamy do kolacji. Przygotowałam coś pewnie dla mnie?”

Czyż było to winą panny Zizi, że przed godziną jej ukochałny Lolek zmiótł kolację, przeznaczoną dla tego „pana i władcy?”

— Za... zapomniawsza przyszykować...

Pan Pączek aż się zerwał z kanapki.

— Więc tak? Ja od razu mówię, że ty o mnie zapominaś! Mam dowód tego! Musimy się rozstać!

Rozstać się? A kto wtedy zapłaci komorne, suknie, błyskotki, wyjazdy zagranicę? Rozstać się z hojnym panem Pafnucym w te ciężkie czasy? Niema głu-

pich! Zizi rzuciła się mu na szyję i tak go przekonywała, że dał za wygraną. Ale tylko częściowo. . . .

Nazajutrz wieczorem przyniósł swej damie niewielką, po długą paczkę. Na pytanie jej odpowiedział tajemniczym uśmiechem:

— Serdeczko, mam tu podarek. Będzie to specjalna pamiatka ode mnie i bardzo bym chciał, żebyś ją zachowała. Pamiatka, bardzo mi na tem zależy.

— A co to takiego? — Pan na Zizi z ciekawości nie mogła ustnie na miejscu.

Pan Pafnucy powoli rozwinał paczkę. Zizi skrzywiła się: — Parasolka? Wiesz przecież, że mam już kilka parasolek. Myślałam, że to będzie coś praktyczniejszego, na przykład, na przykład... nieścionek, naszyjnik... lub coś w tym rodzaju...

Pan Pączek zmartwił się:

— A ja myślałam, że ciebie to ucieszy... Zresztą nie smuć się. Wiesz, że ci niczego nie żaluję. Tymczasem przyniósł ci parasoleczkę. Kupiłem ją dziś

u braci Jabłkowskich specjalnie, żeby cię wypróbować. O ile przez miesiąc nigdzie jej nie zgubisz, nie zapomnisz to... to coś ci kupię...

— Co?

— Co zechcesz.

— Kolej? Bo wiesz, z dekoltem mi zimno: ładna, brylantowa kolja przykryłaby mnie trochę.

— Niech będzie kolja. Ale pamiętaj!

Pan Pafnucy Pączek był bardzo na siebie rozgniewany. Jak można być takim gapiem? I w jego wieku, w dodatku! Ach, to wprost nie do wybaczenia — a co Zizi pomyśli? I wszysko, co mu powie, to będzie miała rację. Bo było tak: przez trzy tygodnie regularnie pan Pączek kontrolował w przedpokoju panny Zizi: pasasolka wciąż była na swoim miejscu. Pan Pączek rozczulił się na to wspomnienie: Kochana Zizi — tyle dla niego ma miłości, tak się stara, a on, dziś, odprawiając Zizi do domu, zgubił gdzieś jej parasolkę! Co to będzie? Co to będzie?

Nagle p. Pączek uderzył się

w czoło: że też o tem nie pomyślał! Prędko, do Jabłkowskich! Zanim się Zizi spostrzeże, on już kupi nową parasolkę, taką samą i wstawi, nieznanie do przedpokoju.

Po chwili był już w wielkim magazynie przy dziale parasolek. Wtem skoczył w bok i ukrył się za zażywną jakąś damą z prowincji: o krok od siebie zauważył Zizi, która właśnie coś kupowała. Dobięgli go słowa rozmowy:

— ...bo takiej, jak pani wierznej klientki nie mamy. — Wciążu paru tygodni kupić: blisko dwa tuziny parasolek i to wsty stko jednego typu! — mówiła sprzedawczyni.

Pan Pafnucy nastawił ucha. Zizi odpowiadała właśnie:

— Widzi pani, ja stale zapomniawsza parasolki na mieście, a tu niedawno dostałam taką ładną od... od mojego wujka. Wstąpił człowiek ale mi, na mi bardzo zależy — jest bogaty. Ubrdał sobie, że muszę jego podarunek zachować. W ten sposób, za każdym razem muszę biec tutaj, żeby odkupić taką samą...

